

REYMONT
WŁADYSŁAW
STANISŁAW

LIL

Reymont Władysław

Lili

«Public Domain»

Władysław R. S.

Lili / R. S. Władysław — «Public Domain»,

Tytułowa Lili to śliczna, młoda aktorka, która swoją urodą, niewinną naiwnością i radością życia podbija serca niemal wszystkich napotkanych ludzi. Podbija również serce Leona Zakrzewskiego — młodzieniec tylko po to, by być przy niej, dołącza do tej samej grupy teatralnej. Wkrótce Leon wyznaje Lili miłość i oświadcza się jej. Początkowo Lili, choć nie do końca wierzy we własne szczęście, zgadza się bez oporu, co zachwyca Zakrzewskiego. Niebawem jednak okazuje się, że podjęcie decyzji może nie być takie proste. Opowiadanie Lili ukazuje nie tylko historię miłosną dwojga młodych ludzi, ale także w interesujący sposób przedstawia codzienność grupy aktorskiej wraz z jej problemami i urokami. Utwór został opublikowany po raz pierwszy 1899 roku w Krakowie. Władysław Stanisław Reymont to jeden z najważniejszych pisarzy młodopolskich, przedstawiciel realizmu i naturalizmu, prozaik, nowelista. W 1924 roku został nagrodzony literacką Nagrodą Nobla za powieść *Chłopi*.

© Władysław R. S.

© Public Domain

Содержание

I	5
II	15
III	19
Конец ознакомительного фрагмента.	21

Władysław Stanisław Reymont

Lili

I

Ale co my teraz poczniemy z sobą?

– Raz... dwa... trzy... Nie wiem, to już Józia głowa – odpowiedziała Korczewska, pochylając się nad szydełkową robótką. – Józio dobrze myśli o nas. Kończę te serwety, bo prezydentowa obiecała mi sprzedać. Raz... dwa... trzy... – liczyła po cichu i tak się zatopiła w robocie, że nie widziała wzburzenia Gałkowskiej, która prędko i niecierpliwie biegała po pokoju; tak niecierpliwie, aż wielka, jasna peleryna, którą miała na ramionach, fruwała za nią, wydęta, i uderzała w twarz młodego chłopaka, siedzącego pod piecem.

– Jańciu! myślże co, przecież jesteś mężczyzną – zawołała przyduszonym głosem, stając przed nim.

– Jestem mężczyzną, to się wie... a zaraz będę myśleć, tylko papierosa wypalę – odpowiedział drwiąco, puszczać jej w oczy kłąb dymu.

Gałkowska uderzyła go oczami i siadła obok Korczewskiej na koszu, okrytym dywanikiem z różnokolorowych skrawków.

– Zdaje mi się, że zrobiliśmy wielkie głupstwo, odchodząc od Stobińskiego. Korczyński mógł rozbić towarzystwo, bo państwo macie fundusze... macie protektorów... macie swoje plany...

– Mamy figę marynowaną. Pleć, pani, pleć... raz... dwa... Mamy fundusze! Józio wczoraj zastawił futro!... trzy... cztery...

– Ale cóż my zrobimy? My, którzy futer nie mamy do zastawienia! Cały tydzień już się nie gra! Wie pani, pisał dzisiaj Oleś do Jańcia, że onegdaj grali w Kole, spektakl był nabity, mieli w kasie osiemdziesiąt rubli! Osiemdziesiąt rubli! – powtórzyła z naciskiem. – Gdybyśmy byli razem, to mielibyśmy na markę¹ najmniej po pół rubla – dodała z żalem.

– Jedź pani do nich, zaangażuj panią z pocałowaniem ręki, weźmiesz wszystkie bohaterki... zagrasz po Lili wszystkie naiwne... – szeptała cicho, z drwiącym uśmiechem Korczewska, rozprostowując na kolanie skończone kółko.

– Pani tak mówisz, jakbym ja, Gałkowska, nie była aktorką na stanowisku, tylko pierwszą lepszą krowientą²!

– Ależ ja nic nie mówię! Niechże mnie Bóg broni, żebym co mówiła...

Gałkowska porwała się z kosza i znowu biegała po pokoju. Jej sinawa twarz, chuda i brzydka, obsypana pudrem, pokryła się mocnymi wypiekami irytacji, a wielkie, wypłowiałe, okrągłe oczy, silnie podczernione i otoczone dokoła całą siecią zmarszczek, zamglily się łzami.

– Mieszkanie za cały miesiąc niezapłacone, to mniejsza, ale jeść nie ma kupić za co, kredytu nie mamy już za grosz. Jańcio wczoraj sprzedał za parę groszy coś z laubzegi³, ja dzisiaj zastawiłam salopę⁴, a na jutro nie ma już ani co sprzedać, ani zastawić... I kto to wszystko znosi! kto tak cierpi! Ja, Gałkowska, aktorka na stanowisku! To już chyba koniec świata!

Oparła się o parapet i wsadziła twarz w okno, żeby ukryć łzy, które się jej gwałtem wydobywały spod powiek, i to bolesne, rozpaczliwe łkanie, jakie wstrząsało całą jej chudą postacią. Patrzyła potem

¹ marka (daw. teatr.) – jednostka obrachunkowa, wartość pojedynczego udziału w zysku z przedstawienia, na podstawie której obliczano zarobki aktorów. [przypis edytorski]

² krowienta (teatr.) – początkująca, niezgrabna aktorka, rzadziej aktor. [przypis edytorski]

³ laubzega (z niem. Laubsäge) – cienka piła metalowa do wyrzynania otworów i wykrojów w drewnie. [przypis edytorski]

⁴ salopa – długie, wierzchnie okrycie damskie, z rękawami i pelerynką, ocieplane futrem, noszone w XVIII i XIX w. [przypis edytorski]

chwilę bezmyślnym wzrokiem w zaśniewony, biały świat, aż jakieś postanowienie mocne ją poderwało z miejsca, bo się rzuciła na pokój i zawołała energicznie:

– Wiem, co robić! Jańciu! Chodźmy!

I szła przez pokój z majestatem Elżbiety z *Hrabiego Essex*⁵, którą grywała. Jańcio niechętnie się podniósł i troskliwie obciągał bardzo delikatne, letnie palto, w którym chodził.

– Raz... dwa... Zaczekajcie. Józio zaraz przyjdzie. Mają się wszyscy zebrać, to się naradzimy, trzy... cztery... Grabiec pisał, że chciałby nas wszystkich angażować, a w każdym razie coś się postanowi. O, już ktoś idzie!...

Jakoż w tej chwili drzwi się otwarły i z całą falą śniegu i wiatru wpadła młoda dziewczyna, a za nią elegancki, przystojny mężczyzna.

– Dzień dobry! Jezus! taki śnieg! taki wiatr! tak zimno! Mam pełne buciki śniegu. Przechodząc koło apteki, spojrzałam na tego pigularza⁶ ryżego i bach... w całą kupę śniegu się przewróciłam. Pan Zakrzewski ledwie mnie wyciągnął – mówiła prędko, tupiąc nogami, otrzepując się ze śniegu, witając z kobietami i kręcąc się po pokoju, który napełniła wesołą wrzawą. – Jańciu, puść mnie do pieca i nie patrz! Muszę zdjąć buciki! Ale i panu nie wolno... nie wolno... – zawołała do swojego towarzysza i zerwawszy się od pieca w jednym buciku tylko, odwróciła go plecami do siebie. – Patrz pan na Gałkowską, ślicznie się dzisiaj zrobiła! Jańciu, patrz w szydełko pani Korczewskiej! – wołała ze śmiechem, zdejmując drugi bucik, wysypała śnieg i oparła maleńkie nóżki w czarnych pończochach na ciepłych drzwiczkach, oglądając się przy tym co chwila, czy kto nie patrzy.

– Ho! ho! Lili ma nowe futerko! Dobry „bębenek”⁷ z tego obywatela – dodała ciszej Gałkowska, oglądając dziewczynę z uwagą pełną zazdrości.

– Przerobione z mamy! – zawołała Lili wesoło i spojrzawszy na Zakrzewskiego, który stał jak słup na środku pokoju, odwrócony do niej plecami, roześmiała się głośno; ogromne, błękitne oczy strzeliły niepohamowaną wesołością, włożyła szybko buciki, zerwała z głowy futrzany czarny kołpaczek⁸ i rzuciła nim w twarz Jańcia, który nieznacznie się jej przypatrywał i gryzł papierosa, poprawiła grzebyki w jasnych jak len, popielatych włosach, które niesfornymi kosmykami, nastroszone, puszyste, spadały jej na czoło, zakrywały skronie i jak popielate płomyki pełzały po białym karku, wychylającym się z zielonej sukiennej bluzki, ściśniętej paskiem w stanie.

Wytarła wilgotną od śniegu twarz i obciągała bardzo starannie bluzkę.

– Lili nie ma dzisiaj gorsetu! – szepnął Jańcio cynicznie.

– Łobuz! Dyrektorowo! niech on nie patrzy na mnie! – zawołała, rumieniając się i osłaniając skrzyżowanymi rękami piersi, bo przez cienkie sukno rysowały się zbyt wyraziście.

Korczewska roześmiała się, nie podnosząc oczów⁹ nad kółka, a Gałkowska obejrzała ją przymrużonymi złośliwie oczami i rzuciła pobłażliwie:

– Nigdy nie wychodzi z roli naiwnej! Mascota¹⁰! – dodała ciszej i urągliwiej.

Lili nie słuchała, okryła ramiona jakąś podartą chustką Korczewskiej i usiadła na koszu. Siedziała czas jakiś w milczeniu, tylko bujała zajadłe nogami i biegała oczami po ścianach pokoju, malowanych w ordynarny niebieski deseń, po którym ściekały od sufitu brudnożółte smugi wilgoci, po łóżku, okrytym szydełkową kapą i stosem coraz mniejszych poduszeczek, przez których szydełkowe poszewki przeświecała purpura wsypek; wielki dywan z różnokolorowych sukienych kwadratów wisiał nad łóżkiem i stanowił tło dla obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej i dla kilkunastu fotografii Korczewskiego w różnych rolach, oprawionych w laubzegowe ramki¹¹.

⁵ *Hrabia Essex* – dramat niem. pisarza Heinricha Laubego (1806–1884). [przypis edytorski]

⁶ *pigularz* (pot.) – aptekarz. [przypis edytorski]

⁷ *bęben* (daw., pot.) – małe dziecko, dzieciak; tu: niedorostek, mlókos. [przypis edytorski]

⁸ *kołpaczek* – wysoka czapka bez daszka, z futrzanym otokiem. [przypis edytorski]

⁹ *oczów* – dziś popr. forma D. lm: oczu. [przypis edytorski]

¹⁰ *mascota* – zgr. od: maskotka (z fr.: *mascotte*). [przypis edytorski]

¹¹ *laubzegowe ramki* – wykonane laubzegą, cienką piłką do wyrzynania wykrojów w drewnie. [przypis edytorski]

– Mielicie radzić, to radźcie, słucham! – zawołała niecierpliwie. – Zakrzewski, chodź no pan! Jakie pan ma włosy! ha! ha! – Śmiała się, bijąc piętami w kosz.

Zakrzewski przejrzał się w lusterku i zaczął śpiesznie przygładzać włosy.

– Chodź pan do mnie. Dawaj pan grzebień, prędko!

Zakrzewski usiadł obok niej, a ona, że było jej za wysoko, ukłękła na koszu i zaczęła mu czesać włosy, obracając głowę na wszystkie strony.

– Raz... dwa... dobre dzieci... śliczne dzieci... – szepnęła Korczewska pobłażliwie.

– Scena z wodewilu¹²! Lili dobrze robi naiwną!

– Pilnuj pani lepiej swojego Jańcia, a nie moich ról – odpowiedziała spokojnie dziewczyna, czesząc dalej.

– Pani się do mnie nie wtrącaj, ja jestem aktorka na stanowisku. Jańciu, przecież jesteś mężczyzną, i pozwalasz krowientom ubliżać swojej siostrze!

– Jańciu! obrońże od apopleksji¹³ żonę swojego brata! – zawołała ze śmiechem Lili, widząc pasową z irytacji twarz Gałkowskiej, która nic się już nie odezwała, tylko gryzła z wściekłości dżet¹⁴, jakim był ubrany¹⁵ przód okrywki¹⁶, a Jańcio okrył się takim kłębem dymu, że zniknął w nim cały.

– Panie Leonie, kogo my w tej chwili przypominamy?

– Samsona i Dalilę¹⁷!

– Czy to ze sztuki jakiej? Musi mi pan w domu opowiedzieć, dobrze? – zapytała słodkim, przeciągłym głosem, dotknęła paluszkami jego ucha i zajrzała mu tak blisko w oczy, że cofnęła się zmieszana i zaczęła gwałtownie pokręcać wąsiki.

– Dobrze, opowiem pani! – odpowiedział cicho i starał się uchwycić ją za rękę, ale się szybko wysunęła i pobiegła do psa śpiącego na krzeselku, którego poczęła pociągać za uszy i drażnić.

Cisza się zrobiła; Korczewska nieustannie liczyła oczka szydełka, Gałkowska siedziała przy oknie i z jakąś trwogą patrzyła w zaśniewany świat; wiatr wył za oknami i co chwila rzucał tumany śniegu w szybki brzęczące, targał za drzwi i gwizdał w kominie, aż się wydymała niby żagiel czerwona firanka, jaką był przysłonięty, a pies, drażniony przez Lili, warczał cicho, aż w końcu znudzony zeskoczył na podłogę, przeciągnął się i drapał do drzwi ze skowytem.

– Cicho, Murzyn! Pan przyjdzie, to Murzynowi da jeść, cicho, piesku – szeptała Korczewska, głaszcząc pieszczotliwie psa, który ułożył się na jej spódnicy i zasnął.

– Dzień dobry, komedianty! To czas, niech go drzwi ścisną! – zawołał niski, chudy aktor, mocując się przez chwilę z drzwiami, których mu wiatr nie pozwolił zamknąć.

Zaczął tupać nogami i otrzepywać się ze śniegu.

– Psi się dzisiaj weselą! Na zakręcie myślałem, że mnie wiatr weźmie, bo mój ibercjerek¹⁸ tak się wydał, że chwilę jeszcze, a wasz Kos byłby sobie pofrunął szukać angażman¹⁹ w obłokach. A zimno!

Zabijał ręce o ramiona po chłopsku i ostrożnie tupał nogami, bo jego cienkie lakiery, pełne łatek i szwów, zaczerwienionych atramentem, nie pozwalały na energiczniejsze ruchy.

– Dyrektor zaraz przyjdzie! Pani Gałkowskiej sługa i podnózek! Naszej kochanej, pakownej mamie Korczewskiej – całuję rączki; pięknej Lili – buziaka, a szanownemu dziedzicowi

¹² *wodewil* – komediowe lub farsowe widowisko sceniczne, przeplatane piosenkami i wstawkami baletowymi. [przypis edytorski]

¹³ *apopleksja* – wylew krwi do mózgu. [przypis edytorski]

¹⁴ *dżet* – błyszczący czarny kamień ozdobny, czarny paciorek. [przypis edytorski]

¹⁵ *dżet, jakim był ubrany przód okrywki* – dziś raczej: jakim był przystrojony, ozdobiony. [przypis edytorski]

¹⁶ *okrywka* (daw.) – wierzchnie okrycie kobiece. [przypis edytorski]

¹⁷ *Samson i Dalila* (bibl.) – Samson, legendarny bohater wojen Izraelitów z Filistynami, był obdarzony przez Boga nadludzką siłą, działającą dopóki nie strzygł włosów; utracił ją, gdy jego kochanka, Dalila, nakłoniła go do wyjawienia sekretu i podstępnie ścięła mu włosy, gdy spał. [przypis edytorski]

¹⁸ *ibercjerek* (z niem. *Überzieher*) – lekkie palto. [przypis edytorski]

¹⁹ *angażman* (z fr. *engagement*) – angaż. [przypis edytorski]

dobrodziejowi, z dubeltówki! – I co gadał, wykonywał natychmiast z bardzo poważną miną i z nieruchomą, sinawą, podobną do maski twarzą starego aktora prowincjonalnego, a potem przywarł mocno plecami do pieca i zaczął gwizdać.

– Kos dzisiaj gwizdże już od rana, musiał zrobić dobry interes.

– Lili jest bachor, cicho! Zrobiłem interes, bo zrobiłem molom kawał. Uważcie! Zaglądam do kufrów... a tam po moich sobolach te szelmy spacerują sobie najbezpieczniej, jakby to była garderoba co najmniej naszego kochanego dziedzica dobrodzieja! Czekażże, hołoto! Watówkę²⁰ przybiłem za trzy papierki, a swój ibercjerek letni na grzbiet, no i jestem... – Zaczął się śmiać bez przyczyny i rozcierał z zapalem sine od mrozu uszy.

– Szalkowscy przyjdą? – zapytał Jańcio, ziewając przeciągle.

– O, masz ich, idą już i kłóca się jak zwykle! – zawołał, patrząc w okno, obok którego mignęli jacyś ludzie głośno rozmawiający.

– Prędeż! prędeż! I zamykajcie te drzwi piekielne! – zakrzyczał Kos, wpuścił Szalkowskich, drzwi zatrzasnął i próbował je nawet zamknąć na klucz.

– Czy przez to ma być cieplej? – zaśmiała się Lili.

Kos puścił drzwi i znowu przywarł do pieca, a przypatrywał się Szalkowskiej, która sztywno i oziębło witała się ze wszystkimi, pomijając tylko ostentacyjnie Gałkowską, umyślnie odwróconą do okna.

– Bardzo zimno! – odezwała się Szalkowska, odwiązując woalkę.

– Tak, chciałem właśnie powiedzieć, że jest bardzo zimno – szepnął śpiesznie Szalkowski, zacierając ręce i odbierając od żony woalkę, boa z szarych, brudnych piór i ceratowy, płaski kapelusz; ułożył to wszystko bardzo starannie na łóżku.

– Czy to jest najświeższa wiadomość z ulicy? – szepnął ironicznie Kos.

Szalkowska odwróciła się od niego pogardliwie i w małym lusterku zaczęła wycierać twarz, poprawiać włosy i delikatnie obmacywała mocno wypukłe, silnie ukarminowane usta.

– Todziu! Pudru zapomniałam! – odezwała się do męża.

– Rzeczywiście, zapomniałem ci go włożyć do kieszeni, ale zaraz przyniosę, za chwilę – i w wielkim pośpiechu wybiegł, już na ulicy kładąc palto i czapkę.

Tymczasem Szalkowska bez ceremonii upudrowała twarz pudrem Korczewskiej i siadła przy Lili, która z jakimś dziecinnym podziwem przypatrywała się jej wspaniałej, doskonale rozwiniętej postaci i pięknej, chociaż już mocno podniszczonej twarzy.

– Todzio wraca! Dobrze panią obsługuje – mruknął Kos.

Szalkowska roześmiała się sucho, głos miała nieprzyjemny, trochę gardłowy i jakby przepity.

– Mam puder, przepraszam cię! – wołał mąż, z trudem łapiąc powietrze, tak się zdyszał, choć mieszkali tylko o dwa domy.

Pocałował żonę w rękę, odciągnął Zakrzewskiego do drzwi i coś mu tam gorączkowo opowiadał, pilnując równocześnie oczami, czy żona czego nie potrzebuje.

– Właściwie na co czekamy? Pić mi się chce, Todziu, przynieś mi wody sodowej.

– Zaraz, Heła, za chwilę będzie! – i znowu wybiegł pośpiesznie.

– Przyjdzie mój mąż, to postanowimy co o spektaklu. Raz... dwa... trzy...

– Ale ja nie mam czasu, mnie się spać chce! – Przeciągnęła się leniwie, ziewnęła parę razy, oparła głowę o ścianę i przymglonym a natarczywym wzrokiem wpatrzyła się w Zakrzewskiego, który pisał coś ołówkiem na mankiecie i podsuwał go pod oczy Lili, tak zajętej odczytywaniem, że nie widziała prawie wejścia Korczewskiego z drugim jakimś aktorem.

Korczewski mruknął niezrozumiałe przywitanie i zaczął odkręcać wielki szal z szyi, potem długo zacierał ręce, jeszcze dłużej wyciągał z kieszeni różne prowianty i rozkładał je na kominie za

²⁰ watówka (pot.) – kurtka watowana. [przypis edytorski]

firanką, skąd się wreszcie ukazał z niewielkim garnuszkiem w ręku, z którego jadł powoli, chodził po pokoju i mówił:

– Jesteśmy mniej więcej wszyscy, możemy więc już radzić.

Pochylił swoją wyniosłą, chudą postać i powłókł po zebranych czarnym, przymglonym nieco, ale dobrym wzrokiem. Twarz miał świeżo wygoloną, sinawą od mrozu, a na twarzy sterczał wielki, bardzo cienki i długi nos.

– Nie tyle radzić, ile grać nam potrzeba; bo niech mnie drzwi ścisną, ale już ani cebuli, ani w co wkrajać – szepnął poważnie Kos, nie puszczając plecami pieca ani na chwilę.

– Ja również jestem już *ausgespielt*²¹! Wyrzucili mnie z mieszkania, garderoba przepadła, ruchomości przepadły, biblioteka nawet przepadła – ozwał się patetycznym głosem aktor przybyły z Korczewskim, zrobił szeroki gest ręką po gardle, okręcił się szczerzej w starą, aksamitną almawiwę²², podniósł do góry niebieskie oczy i wychudzoną, mizerną twarz i zadumał się ponuro.

– Nie fajnuj, Feluś, tutaj frajerów nie ma! Kiedyżeś to miał garderobę, meble, ruchomości jakie, bibliotekę, co? Łżesz, aż widno! – mówił wolno Korczewski, z powagą wyjadając z garnuszka i spacerując po pokoju.

Pies chodził za nim nieodstępnie i co chwila z innej strony zaglądał mu w oczy i cichym warczeniem lub delikatnym chwytnościem za nogi przypominał, że i jemu się jeść chce.

Feluś nic nie odrzekł, tylko co chwila trząsał w palce i pociągał się za koniec nosa.

– Może mi pan pożyczy papierosa? – mruknął ponuro, wyciągając rękę do Zakrzewskiego, który natychmiast podał mu swoją papierosnicę.

– Zakrzewski, chodź no pan na chwileczkę – szepnął Kos, odciągając go pod komin. – Spójrz na pan na Szalkowską! Co? zdrów numer? Wiesz pan, ona dzisiaj była u hrabiego! Patrz no pan, jakie ma aksamity i jedwabie.

– No tak, ale to kwestia jej męża; a przy tym, gdyby ode mnie zależało, to jednej chwili nie byłaby w towarzystwie.

– Frajer z pana, ona sama potrafi robić kasę.

– Więc po cóż na nią wygadujesz?

– Bo małpa jest i tyle, głupich pięciu rubli nie chciała mi pożyczyć; nie masz pan co drobnych? – zakończył, drapiąc się w ucho.

– Mogłeś pan od tego samego zacząć! Dam panu, jak będziemy wychodzili – szepnął dosyć niechętnie, pozostawił go przy drzwiach i chciał powrócić do Lili, ale w pół drogi złapał go za klapę Feluś i znowu odciągnął do drzwi, i zaczął cichym a ponurym głosem mówić:

– Wiesz pan, dlaczego Jańcio ma taką pręgę na twarzy?

– Nie zwróciłem nawet uwagi.

– Było tak: ja mu kraję dubłę z czerwonej²³, a on krzywi swój paskudny pysk i powiada: „fuszer²⁴”; kraję mu potem kwadrę z białej do środka, a on mówi: „fuszer”; w drugiej partii zrobiłem jednym ciągiem sto trzydzieści karamboli, a ta krowienta posiniał ze złości i szczeka: „fuszer!”. Wyciąłem go kijem przez pysk i wyszedłem, bo nie lubię długich awantur.

– Ślicznie, panie kochany, ale co mnie to obchodzi?

– A cóż u diabła dziedzica obchodzi?

– Mianowicie to, co grać mamy i czy grać będziemy.

²¹ *ausgespielt* (niem.) – skończony. [przypis edytorski]

²² *almawiwa* – kolisty płaszcz męski bez rękawów; od imienia operowego bohatera, hiszp. hr. Almavivy. [przypis edytorski]

²³ *dubla z czerwonej, kwadra z białej, karambol* – terminy z gry bilardowej o nazwie karambol, rozgrywanej na pokrytym sukmem stole, polegającej na uderzaniu kijem w kule (bile). Używane są trzy kule: czerwona, biała i żółta (lub biała z kropką). Celem gry jest uzyskanie przez gracza jak największej liczby zderzeń kul, czyli karamboli (fr.: *carambolage*: zderzenie). [przypis edytorski]

²⁴ *fuszer* – człowiek, który wykonuje coś niedbale i niefachowo; partacz. [przypis edytorski]

– Coś zawsze grać będziemy, a tymczasem może byśmy po cichu się wynieśli i zagrali jedną zwyczajną o sznapsika²⁵ z przekąską, co?

– Ileż panu potrzeba koniecznie? – zapytał Zakrzewski wiedząc, jakimi drogami zwykle dobiera się Feluś do pożyczki.

– Te, choćby rubla – odpowiedział nieśmiało, bo chociaż stale żył pożyczkami i naciąganiem, stale się jednak wstydził tego i stale sobie przysięgał, że to po raz ostatni.

– To już mocno nudne, radźcież, bo mi się spać chce! – zawołała Szalkowska i przeciągając się ociężale i leniwie, wyciągnęła rękę po wodę, którą jej podawał mąż.

– Skończże, Korczewski, jeść, do stu diabłów! – zawołał Kos.

– Zaraz, niechże dogryzę ostatniej skórki ze swojego futra!

Postawił garnczek pod kominem, w który natychmiast wsadził łeb Murzyn, wytarł starannie ręce, potem ukrajał kawał chleba i łamiąc go w długich, kościstych palcach, jadł, chodził i myślał.

– Co będziemy grać? – zapytała Lili prędko, bo już się nudziła.

– Niech się pani wpierw spyta, gdzie będziemy grać i przy czym. Tak, bo nie ma co, nie ma gdzie i nie ma przy czym, tak! – mruknął Feluś ponuro.

– Będzie co, będzie gdzie i będzie przy czym! Raz... dwa... – odparła żywo Korczewska.

– Dobrze tak mówić, ale nie ma biblioteki, nie ma teatru i nie ma dekoracji! Dalibóg, nie wiem, po co rozbijaliśmy Stobińskiemu towarzystwo. Chyba, żeby teraz pozdychać z głodu! Oni grali przedwczoraj i mieli osiemdziesiąt rubli! Mielibyśmy po pół rubla na markę, jedlibyśmy i nie zastawiali ostatnich łachmanów. Jestem przecież aktorka na stanowisku, byłam w różnych biedach, ale o takiej nędzy, jaką cierpię od dwóch tygodni, nie miałam nawet pojęcia. Literalnie nie mieć co jeść, chodzić w końcu grudnia w letnim płaszczyku, nie mieć czym palić, to jest więcej, niż człowiek znieść potrafi, to jest nazbyt okropne!... – mówiła Gałkowska i rozplakała się.

Łzy jak groch sypały się na sinawą, wypudrowaną twarz i ryły w niej bruzdy żółtawe. Nie powstrzymywała ich, tylko płakała coraz ciężej a ciszej.

Po zebranych powiało jakieś mroźne tchnienie, strawione nędzą i tułaczką twarze powlekły się smutkiem i martwością, a oczy bezmyślnie zatopiły się w okna, poza którymi była mroźna zima i szeroki, wielki, zimny świat; w tej chwili wszyscy odczuli całą swoją nędzę i niejednemu zadrgał w sercu głuchy, wściekły, bo bezsilny, ból i żal do świata i do ludzi. Lili miała pełne łez oczy; tak ją wzruszył płacz Gałkowskiej, że chociaż się gniewały z sobą, podeszła do niej pierwsza i zaczęła coś cicho mówić i ścisnąć jej ręce, co tak rozrzewniło aktorkę, że chwyciła dziewczynę w ramiona i serdecznie ucałowała.

Szalkowska tylko siedziała nieruchomo; jej piękna, marmurowa twarz ani drgnęła, a w oczach nie zatlił się najślabszy promień współczucia; ziewnęła i rzekła:

– Gracie melodramat, a to już nudne. Todziu!

– Dla pani nudne, bo pani masz pieniądze, ale my sobą nie handlujemy! – zakrzyczał chrapliwie Kos, który nie mógł jej darować odmówienia pożyczki.

– Tak, nędza była, jest i będzie! Tak, Szalkowska ma swoich kochanków, Gałkowska swoją zrudziałą perukę, Korczewska swojego Murzyna, Lili matkę i dziedzica, Murzyn swój łańcuch, Kos swoich bębenków, Jańcio siostrę. Każdy kij swojego pana, każde ciele swojego rzeźnika, tylko ja jestem biedną sierotą. Tak, utop się, synku, kiedyś zgłodniały, tak! Teraz twoja kolej, Messalino²⁶ – zakończył Feluś drwiąco do Szalkowskiej, splunął na pokój, pociągnął się za nos, otulił w almawiwę i zamilkł.

– Masz podobno jakąś propozycję od Grabca? – zapytał Kos.

– Mam, chce nas angażować za... miesiąc, od połowy stycznia.

²⁵ *sznaps* (pot., z niem. *Schnaps*) – wódka. [przypis edytorski]

²⁶ *Messalina, Valeria* (ok. 17–40) – trzecia żona rzym. cesarza Klaudiusza, znana z urody i licznych kochanków; skazana na śmierć za spisek przeciwko mężowi. [przypis edytorski]

– Grał na fujarce! Czekaj tatka latka, aż kobyłę wilcy zjedzą! Przez miesiąc to zjemy się do podeszew! A niech to siarczyste drzwi ścisną!

– Nie ma też innej rady, tylko sztukę jaką wybrać, i grajmy.

– Zakrzewski ma teraz, jak i zawsze, zupełną rację, ale czemu się pan nie powiesił, co? tak, czemu?

– No, więc grajmy. Zagramy, będziemy mieli pieniądze i wyniesiemy się z tego partykularza!

– I Kos ma rację, bo nie ma już kogo naciągać! Utop się, synku, bo i tak zatłuką cię na bilardzie, tak! – odpowiedział zgryźliwie Feluś.

– Trzeba radzić, a nie popisywać się dowcipami.

– Todzio przemówił! szpaczek się odezwał. Jaki on śliczny, ten mąż pani Szalkowskiej, musi go karmić samymi bakaliami.

– Todziu! Pan się mnie nie czepiaj!

– Todziu, pilnuj się, chłopaczku, bo możesz stracić miejsce.

– Daj spokój, Kos, za wiele sobie pozwalasz, coś znowu! – szeptał trwożnie Todzio.

– Może który z panów zagra benefis²⁷! – zaproponowała Korczewska.

– Dobra myśl! Tylko co grać i kto benefis weźmie? Okolica już jest potężnie wypleniona, przecież Stobek grasował tutaj przez dwa miesiące.

– Będziemy grać składanki! Dobrze! Panie Zakrzewski, siadaj pan, piszemy natychmiast afisz, da się do podpisu, odlitografujemy²⁸ i hajda na wieś z biletami, to jedyny ratunek! – wołał Korczewski, który już skończył jeść chleb.

Zakrzewski usiadł przy stoliku i czekał.

– Pisz pan: „Za pozwoleniem zwierzchności. Ostatnie pożegnalne przedstawienie na ogólne żądanie”. Datę się wpisze.

– Co za sztuki będziemy grali?

– Jest *Czuła struna*²⁹, *Piosnka wujaszka*³⁰ i *Icek zapieczętowany*³¹, doda się jakąś deklamację, mazur w cztery pary, i będzie dobrze.

– Pierw się utopisz, Korczewski, nim na taki afisz weźmiesz publiczność, tak!

– A gdzie się grać będzie?

– W hotelu jest pusta, duża stajnia, ustawi się scenę, ściany okryje świerkami, kandelabrami³², i jakoś tam będzie.

– A dekoracje?

– Psiakość słoniowa, zapomniałem na śmierć! Trzeba jakoś zrobić...

– Z czego i za co! Człowieku! nikt groszem nie śmierdzi.

– Co tu robić? – zamyślił się i wsadziwszy wedle zwyczaju palce w usta, chodził prędko i rozmyślał; naraz przystanął i rozjaśnionym głosem zawołał: – Zrobimy dekoracje! Kto ma jakie prześcieradła i ręczniki, słowem coś, z czego będzie można zrobić tylną ścianę i kulisy, proszę o zadeklarowanie. Kurtynę zrobi się z portier, hebesy³³ przecież pożyczą. Korniszon namaluje pokój i będzie cudnie, no tylko galopem!

²⁷ *benefis* – daw.: przedstawienie a. koncert, z którego zyski były przeznaczone dla jednego z artystów; dziś: okolicznościowe przedstawienie a. koncert dla uhonorowania artysty lub zespołu, najczęściej z okazji jubileuszu. [przypis edytorski]

²⁸ *litografować* – wykonywać odbitki metodą litografii; *litografia* (z gr. *lithos*: kamień, *graphein*: pisać): technika graficzna polegająca na odbijaniu kamiennej matrycy z łupku wapiennego, na której słabym kwasem wytrawiono rysunek, uprzednio naniesiony zatłuszczającą kredką a. farbą. [przypis edytorski]

²⁹ *Czuła struna* – jednoaktowy wodewil Clairville'a (własc. Louis-François Nicolaïe) (1811–1879) i Lamberta Thibousta (1827–1867). [przypis edytorski]

³⁰ *Piosnka wujaszka* – jedna z popularnych w 2 poł. XIX w. komedii autorstwa Jana Aleksandra Fredry (1829–1891). [przypis edytorski]

³¹ *Icek zapieczętowany* – popularna komedia ze śpiewami autorstwa Aleksandra Ładnowskiego (1815–1891). [przypis edytorski]

³² *kandelabr* – duży, ozdobny, wieloramienny świecznik stojący. [przypis edytorski]

³³ *hebes* (z łac.) – tępy, ograniczony, tuman. [przypis edytorski]

- Niech Kos zagra benefis, on ma dużo przyjaciół.
- Jak Boga kocham, to niemożliwe³⁴! Jakże ja się pokażę na świat w swoich lakierach³⁵, w których tylko uszy są nie podarte, a mój ibercjerek, co?
- Feluś niech zagra – zaproponowała Gałkowska.
- Tak, ale nie, bo Feluś w swojej almawiwie mógłby się tylko powiesić uroczyście, a zresztą mnie się nigdy benefisy nie udawały.
- Graj pani z Jańciem – szepnął Korczewski.
- Co? może w tym płaszczyku pojedę? Nie chcę zmarznąć ani też narażać się na urągowisko³⁶!
- Todziu, zagraj ty z żoną, macie tyle znajomości! – błagał już Korczewski.
- My nie możemy grać dla wielu przyczyn, ale ja mogę w mieście kilka biletów sprzedać – tłumaczyła żywo.
- Więc kto zagra benefis? – wołał Korczewski, wodząc wzrokiem po twarzach i garderobie zebranych. – Korniszon nie może, bo nie ma również palta. Oleś palto ma, ale nikt go nie zna.
- Niech zagra pan Zakrzewski! Ma elegancką garderobę, umie mówić po francusku, wie, jak się mówi z dziedzicami – zaproponowała Korczewska.
- Nie mogę, nie mogę! Mogę jeszcze natrafić w tej okolicy na jakiego kuzyna lub znajomego, a nie! Chciejcie, panowie, zrozumieć moje położenie.
- Nie chcesz pan ratować towarzystwa?
- Chciałbym, ale w ten sposób niepodobna, a zresztą nie znam okolicy, nie wiem nawet, jak się to robi.
- Tłumaczył się miękko, bo zobaczył proszący wzrok Lili.
- Ja panu pomogę, pojedę z panem! No, musisz pan, mój królu złoty! Pan jeden masz garderobę i podobny jesteś do człowieka! Proście go, panie! – zawołał Korczewski.
- Zakrzewski pomimo prośb całego towarzystwa opierał się dosyć długo, ale skoro w końcu przysła Lili i bardzo cichutko zaczęła prosić, nie mógł się oprzeć i zgodził się.
- Pisz pan afisz w dalszym ciągu, panie Zakrzewski: „Wielkie pożegnalne przedstawienie na benefis p. Leona Zakrzewskiego, art. dr.³⁷ teatrów lwowskiego i krakowskiego”.
- Dajże pan spokój, nie byłem nawet w Krakowie ani we Lwowie.
- To nic, panie, to dobrze robi na afiszu, ładnie brzmi.
- Benefis grać mogę, ale na taką blagę³⁸ się nigdy nie zgodzę.
- Z pana jest bardzo porządny szlachcic, ale bardzo... blondyn. Cóż to panu szkodzi mniej więcej? Egzaminu pan zdawać nie będzie ani do kozy³⁹ pana nie wsadzą za tytuł aktora lwowskiego. Pisz pan.
- Zakrzewski napisał wreszcie, zżymnąwszy⁴⁰ ramionami.
- Jakież sztuki gramy?
- Zaczekaj pan. Przysła mi myśl mniej więcej. Na jednoaktówki nie polecą, to prawda. Mazur w cztery pary – dobrze, ale co więcej?
- Ukrajął znowu kawał chleba, łamał go, jadł i biegał po pokoju coraz prędzej.
- Co więcej? Trzeba by dać coś z wielkiego repertuaru, coś, co grywają w Warszawie lub w Paryżu, coś, o czym piszą obecnie i mówią. Dlategośmy się przecież rozbili, żeby nie grywać *Młynarzów i kominiarzy*⁴¹.

³⁴ niemożliwe (daw.) – niemożliwe. [przypis edytorski]

³⁵ lakiery – zgr. od: lakierki, buty z błyszczącej, lakierowanej skóry. [przypis edytorski]

³⁶ urągowisko – drwienie z kogoś, wyszydzenie. [przypis edytorski]

³⁷ art. dr. – tu skrót od: artysta dramatyczny. [przypis edytorski]

³⁸ blaga – zmyślenie, bujda, kłamstwo. [przypis edytorski]

³⁹ koza (pot.) – areszt, więzienie. [przypis edytorski]

⁴⁰ zżymnać – tu: niecierpliwie się poruszać, wzdragać się gniewnie. [przypis edytorski]

⁴¹ *Młynarz i kominiarz* – jednoaktowa komedioopera Jana Nepomucena Kamińskiego (1777–1855), adaptacja fr. sztuki, której

– Powieś się z tym swoim wielkim repertuarem. Skądże go weźmiesz?

– Ty nie jesteś mądry, Feluś, nie! Cóż to, myślisz, że w tej podłej Kiernozi⁴² chcę zagrać *Hamleta* czy inną jaką głośną szopę? Mnie potrzeba tylko głośnej sztuki na afisz, na przynętę dla tych hebesów.

– Nic nie rozumiem – szepnął Zakrzewski, kładąc pióro.

– Nic pan rozumieć nie potrzebuje, pisz pan: „*Gniazdo rodzinne*, dramat Sudermanna⁴³, grywany z niesłychanym powodzeniem na scenach całego świata. Osoby”... Zaczekaj pan, jakie tam u diabła występują osoby?...

Zamyślił się i znowu biegał po pokoju.

– Zobacz pan w egzemplarzu, po cóż z pamięci?

– Ha! ha! Pan jesteś, panie Zakrzewski... jasny blondyn, ha! ha! Ja nie tylko nie mam egzemplarza, ale nawet afisza z tej sztuki nie widziałem na oczy, czytałem tylko o niej w pismach.

– Więc jakże u Pana Boga możemy ją zapowiadać i grać!

– Któż mówi o graniu? My ją zapowiemy, a przed samym przedstawieniem, kiedy już teatr będzie pełny, kiedy pieniądze będą w kieszeni, zaanonsuje⁴⁴ się, że z przyczyn od nas niezależnych sztuki tej grać nie możemy, a natomiast zagramy trzy jednoaktówki, zakończone mazurem! Co, planik zły?

– Plan dobry, spektakl na pewno będzie nabity, ale co publiczność powie?

– Publiczność to wielkie stare ciele, obiecać mleka – przyleci; dać w to miejsce serwatkę – pobeczy, powierzga, ale wypije w końcu. Pisz no pan osoby.

– Zbabrze nas potem w pismach jaki skryba⁴⁵ za taki kawał – mrucał Feluś, chwytając się za nos.

– Dużo nam zrobi, przecież nikt z nas gazet nie czyta! Pisz pan osoby: „Magda Szulc, śpiewaczka”. Co trzeci Niemiec jest Szulcem. To dobrze, ale więcej nic nie pamiętam! Psiakość słoniowa! Poszła na scenę, potem powróciła do domu, ojciec umarł mniej więcej, tyle tylko pamiętam z recenzji. Śpiewaczka! Więc musiała mieć bębenka, arystokratę, barona albo hrabiego, wojskowego, nie ma przecież sztuki niemieckiej bez lejtnanta⁴⁶ – kombinował Korczewski, stukał palcem w czoło, zacierał ręce, aż zawołał: – Pisz pan: „Herman von Altona-Meklemburg, baron, kapitan huzarów⁴⁷, kochanek Magdy; Gretchen, pokojówka Magdy”. Przecież wielka śpiewaczka nie może być bez pokojówki. A może dać kamerdynera? To lepiej wygląda. Nie, niech zostanie Gretchen. A teraz, teraz... Otylia, śpiewaczka, współzawodniczka Magdy, dawna kochanka barona”. Tak, tak, doskonale, przecież baron musiał mieć i dawniej kochanki, z tego robi się zazdrość, scena gwałtowna z Magdą, Magda robi wyrzuty baronowi, ten klęka, tłumaczy się, przysięga, że tylko ją jedną kocha! Ślicznie, cudnie!

Zaczął zacierać ręce i śmiać się z zadowolenia.

– Nie śmiej się, Lili, widzisz ją, o! – zawołał zmieszany, bo dziewczyna aż kładła się na koszu od śmiechu, taki był komiczny, gestykulując i grając już ten schemat komedii wymyślonej, przy czym każde słowo ilustrował ruchami i mimiką bardzo zabawną.

– Ponieważ powracała do domu, więc musi być jakiś ojciec, surowy, groźny, pastor, dajmy na to; jakaś matka skora do przebaczenia; jakaś młodsza siostra, jakaś ciotka, jakiś młody, ubogi

autorem był Alexis Guignard de Saint-Priest (1805–1851), znana też pt. *Kominiarz i młynarz, czyli zawalenie się wieży*. [przypis edytorski]

⁴² *Kiernozia* – wieś w woj. łódzkim, ok. 20 km od Łowicza. [przypis edytorski]

⁴³ *Sudermann, Hermann* (1857–1928) – niem. dramaturg i prozaik; utworami scenicznymi (*Honor, Gniazdo rodzinne*) zdobył wielką popularność i zasłynął jako czołowy autor naturalistyczny. [przypis edytorski]

⁴⁴ *anonsować* (teatr.) – zawiadamiać ze sceny o zmianie sztuki lub o zmianach w obsadzie ról. [przypis edytorski]

⁴⁵ *skryba* – tu: pogard.: pisarczyk, o dziennikarzu. [przypis edytorski]

⁴⁶ *lejtnant* (niem. *Leutnant*) – porucznik. [przypis edytorski]

⁴⁷ *huzar* – żołnierz lekkiej jazdy. [przypis edytorski]

krewny, kochający się w młodszej, jakiś pan wielki, który mógł Magdę uwieść i przez niego uciekła z domu; dodać jeszcze paru młodych ludzi i będzie dobrze. Pisz pan: „Johan Szulc, pastor, ojciec Magdy; Joanna, matka; Klara, młodsza siostra; pani Rauchbinder, ciotka; Ferdynand Müller, kuzyn; hrabia Wilhelm von Schwerin; baron von Herberstal-Oldenburg”. Oto dosyć.

– Meklemburg, Schwerin, Oldenburg! Cała obora zarodowa⁴⁸! – śmiał się Zakrzewski, przepisując afisz na czysto.

– Gotowe! Moje złote panie, te prześcieradła, jak tylko można najprędzej, z kosztów się zwróci. Trzeba, żeby je Korniszon zaraz zaczął pacykować.

– Tak, gotowe, daj no, Korczewski, rubla *a conto*⁴⁹, bo zdechnę ci przed przedstawieniem.

– I mnie musisz dać, bo przecież w takich butach grać bym nie mógł.

– To i o nas niechże dyrektor nie zapomni. Jańcio zarobi laubzegą, to oddamy.

– Dobrze, dobrze, robaczki, cudnie, tylko jak was kocham, mniej więcej mam rubla, całego rubla w kieszeni – tłumaczył się Korczewski bardzo gorąco, bo zaczęli się rzucać i dogadywać, ale uspokoił wszystkich Zakrzewski.

– Ja mogę państwu pożyczyć piętnaście rubli do podziału, oddacie mi po przedstawieniu! – zawołał, dając pieniądze Korczewskiemu.

– Rzepa, nie chłop, tak! Powieś się, Zakrzewski, boś głupi – szepnął mu do ucha Feluś, ściskając równocześnie bardzo silnie jego rękę.

– Kto będzie przechodził koło mieszkania Korniszona, to może mu zanieś pieniądze i powie, żeby natychmiast przyszedł do mnie – powiedział Korczewski, rozdzielając pieniądze.

– Ja mogę wstąpić – ozwał się Zakrzewski.

– Może pan mnie odprowadzi, panie Leonie, bardzo proszę, mam nawet do pana interes – szepnęła mu cicho piękna Szalkowska, ogarniając go powłóczytym spojrzeniem.

– Teraz nie mogę, przyjdę wieczorem, jeśli pani chce koniecznie.

– Wieczorem nie będę w domu! – syknęła zirytowana, że odmawia.

– To i lepiej – odpowiedział ostro i odwrócił się do Lili, która udawała, że nie uważa i nie słyszy tych kilku słów, ale gdy usiadł obok niej, spojrzała na niego bardzo wdzięcznym i słodkim spojrzeniem.

– Na ile prześcieradeł mogę liczyć?

– Ja mogę dać trzy, dwa muszę zostawić, nie mielibyśmy spać na czym – tłumaczyła się Gałkowska.

– My możemy dać cztery! raz... dwa...

– To my tylko dwa, bo mamy całe cztery – zawołała Lili z rumieńcem.

– Szalkowska! a pani nic nie dasz? – zagadnął milcząca Korczewski.

– Dam sześć, Todzio zaraz przyniesie.

Mężczyźni nie deklarowali prześcieradeł, bo nic nie mieli.

– Jutro sobota, Wigilia! Szkoda, że nie możemy grać w drugie święto, teatr byłby pełny. Trzeba czekać do czwartku! Panie Leonie, w drugie święto pojedziemy na wieś z biletami, afisze będą jeszcze dzisiaj, lecę natychmiast do naczelnika, żeby zdążył podpisać. Dzisiaj jeszcze umówię się o stajnię, a od jutra Korniszon może zacząć malować dekoracje. Do widzenia! – okręcił się szalem i wybiegł, za nim rozchodzili się wszyscy.

Zakrzewski pomógł Lili się ubrać i wyszli razem, przeprowadzeni macierzyńskim spojrzeniem Korczewskiej, która w dalszym ciągu robiła szydełkiem kółka, liczyła oczka, wyglądała oknem i uspokajała głaskaniem wydzierającego się na świat Murzyna.

⁴⁸ *Meklemburg, Schwerin, Oldenburg! Cała obora zarodowa!* – wchodzące w skład Cesarstwa Niemieckiego księstwa Meklemburgia-Schwerin oraz Oldenburg słynęły z krów mlecznych. [przypis edytorski]

⁴⁹ *a conto* (wł.: na rachunek) – zaliczkowo. [przypis edytorski]

II

– Panie Leonie – zaczęła Lili zaraz na ulicy, przysłaniając usta mufką⁵⁰, bo wiatr sypał śniegiem prosto w twarz. – Proszę o rękę, prędko.

Wyciągnął do niej rękę, a ona przycisnęła ją do serca mocno, pogłaskała kilkakrotnie i bardzo szybko pocałowała, zasłaniając natychmiast mufką oczy.

– Co pani robi? – zawołał i aż przystanął ze zdumienia.

– Bo pan taki dobry, taki złoty, taki... strasznie dobry – szeptała, nie patrząc mu w oczy. – Ja panu dziękuję za te pieniądze, które pan dał wszystkim; nikt panu nawet nie dziękował, nikt nawet nie mówił o nie, a pan sam dał, może to ostatnie pieniądze!

– Cóż w tym dziwnego, oni potrzebowali, a ja miałem. Lili jest uprzykrzony, nieznośny dzieciak! Lili jest bęben, cicho! – zawołał, naśladowując Felusia i jak on, pociągnął się za koniec nosa.

Lili rozśmiała się wesoło.

– Gdzie my idziemy, panie Leonie?

– Do mamy! Po drodze kupimy ciastek, a jak Lili będzie grzeczna, to nic nie powiem, że dziecko kokietowało Jańcia.

– Nieprawda! Jak mamę kocham, nieprawda!

Uderzyła się piąstką w piersi tak energicznie, aż Leon roześmiał się szczerze i miał szaloną ochotę ucałować te cudne, dziecinne prawie usta, które zacisnęła z wielką powagą rozkapryszonego dziecka.

– Ja nie kokietowałam Jańcia, ja nie kokietuję nikogo!

– Wierzę pani, wierzę.

– Nie trzeba mnie nigdy posądzać o to, panie Leonie, nigdy.

– Dobrze.

– Niech mi pan poda rękę! Tak, ale mocniej, mocniej! o, teraz dobrze.

Szeptała, przyciskając się do niego ramieniem i podnosząc cudne, błękitne oczy na jego twarz.

– Wie pan, ten inżynier powiedział mamie, że ja mam talent, czy to prawda?

– Prawda, ma pani talent do rozkochiwania w sobie.

– A nieprawda! Kto by się we mnie kochał, kiedy ja jestem strasznie głupia, strasznie, i tę rolę Justysi w *Dzienniczku*⁵¹ grałam pod starym psem.

– Grała pani dobrze i jest pani strasznie ładna, strasznie! A przy tym bardzo dobra, bardzo zdolna, nic nie zazdrosna o rolę, ach, jaka dobra!...

– Nie, nie jestem dobra, nie – odpowiedziała poważnie i trzęsła główką przecząco, ściągnęła ciemne, prawie czarne brwi, aż się pomiędzy nimi zarysowała głęboka bruzda.

Zakrzewski się uklonił jakimś paniom przechodzącym obok; odkłoniły się lekko i obrzuciły pogardliwo-aroganckim wzrokiem Lili. Spostrzegła to, zarumieniła się mocno, oczy zaiskrzyły się jej, przycisnęła się silniej do niego i gdy już panie owe przeszły, odwróciła się za nimi i pokazała im język.

– Co pani robi?

– A jędze obrzydliwe, Baby Jagi, bazyliuszki – szeptała ze złością.

– Cóż one pani złego zrobiły?

– Nie widział pan, jak patrzyły na mnie, co? Jak na jakie zwierzę z menażerii.

– Ależ zdawało się pani, to są najinteligentniejsze w mieście panny, bardzo dobre!

– Ale nie dla mnie. Mój złoty panie Leonie, zrobi pan, o co bardzo poproszę? co?

⁵⁰ *mufka* – kawałek futra zszytego w kształt walca z dwoma otworami po bokach, służący niegdyś do ochrony dłoni przed zimnem. [przypis edytorski]

⁵¹ *Dzienniczek – Dzienniczek Justysi*, komedia Józefa Kościelskiego (1845–1911). [przypis edytorski]

– Prawie obiecuję, ciekaw jestem.
– Niech się pan nie kłania, niech się pan z nimi nie zna, mój złoty, mój drogi panie Leonie!
– prosiła ze łzami w oczach.

– Dlaczego? Proszę mi dać jakie racje.
– Bo one mnie nienawidzą! Ja to dobrze czuję, dobrze...

Wzdrygnęła się i bezwiednie obtarła twarz chustką, jakby chcąc zetrzeć te zimne i pogardliwe ich spojrzenia.

– Pan myśli, że one są tak piękne, jak wyglądają? Ta starsza przyczernia sobie powieki i brwi, dobrze kiedyś widziałam; a młodsza się różuje, naprawdę się różuje! Że one mnie nienawidzą, to już dawno czuję, dawno! Boże! jaka ja jestem głupia, cóż to pana obchodzi? – wykrzyknęła.

– Nic mnie Lili nie obchodzi, nic! nic! – powtarzał cicho, przyciskając jej rękę tak silnie, że aż syknęła, ale rozpromieniła się wielką radością.

Szli w milczeniu, wymijali starannie olbrzymie kupy śniegu, z których wiatr zwiewał na chodniki obłoki kurzawy. Śnieg przestał padać, natomiast wiatr od czasu do czasu zrywał się gdzieś z pól i ze świstem przewalał się po ulicach miasteczka, kłębił w obłoku białych pyłów, zasypywał oczy, stragany pod ratuszem i okna parterowych domów, milknął nagle i jakby dławiony przez mróz, charczał i łomotał się po dachach blaszanych. Słońce wyjrzało blade, zimne, obumarłe i błyszczało martwo jak wielka mosiężna tarcza, świeżo wyszorowana, zapalało nikłe skrzzenia w śniegach, prześlizgło się po cichu po zmarzłych szybkach i zapadło znowu w białej kurzawie przestrzeni.

– Jedziemy jutro na wigilię na wieś – odezwała się po chwili.

– To już jutro wigilia? Prawda! Zapomniałem zupełnie. Daleko jedziecie?

– Będzie podobno z pięć wiorst⁵². To nasza gospodyni zabiera nas do swojej siostry. Ja chciałam, abyśmy pozostali w domu, aby i pan z nami był na wigilii. Ale... ale... Okropnie mi w nogi zimno! Nie mogła wykrztusić, że nie mieli wprost za co urządzić wigilii.

– A pan gdzie będzie jutro wieczorem?

– Ja! ja – powtarzał wolno, budząc się z przypomnień, co go osiadły gwarną cizbą – ja będę w restauracji! – kłamał z pewnym trudem; nie wiedział, gdzie będzie.

– Smutno będzie panu samemu, bez rodziny, co?

– Będę nie sam, będę ze wspomnieniem pani! – powiedział żywo, ale dosyć twardo.

Uderzył ją ten niespodziewany dźwięk; spojrzała na niego i nic się nie odezwała.

Poszarzał im nagle świat. On coś rzekł, ale słowa porwał mu wiatr, co buchnął z bocznej ulicy, i poniósł na pole. Szli środkiem ulicy, brodząc po puszystym śniegu, który kurzawą wstawał za nimi. Stare, poodbijane z tynków domostwa pochylały się z obu stron i patrzyły na nich zielonawymi oczami okien. Gromada dzieci biła się w jednym miejscu tak zajadle, że tuman białych pyłów otaczał ich obłokiem, w którym tylko chwilami czerniły się ich kontury; rześwe, młode głosy dźwięczały ostro w powietrzu i odbijały się o domy. Psy szczekały radośnie i tarzały się w śniegu pod nogami przechodniów.

– Wejdzie pan do nas? Choćby na chwilę – dodała, widząc jego omroczenie.

Skinął głową i weszli do parterowego małego domku, oddzielonego od ulicy sztachetami, malowanymi na zielono. Lili mieszkała z matką w małym pokoiku od podwórza.

Matka siedziała pod oknem, okręcona w kołdrę, bo zimno było w pokoju; czytała odcinki dzienników, oprawne w niebieski aktowy papier; była to jej ciągła i ulubiona lektura. Podniosła oczy na wchodzących, skinęła Zakrzewskiemu głową i czytała dalej.

Lili poszła się rozbierać za parawanik, który osłaniał kominek i łóżko, a Leon usiadł na kanapce, której pokrycie było niegdyś wiśniowe i również niegdyś aksamitne i całe, bo teraz nie miało żadnej barwy, a dziury i szwy niezliczone, i końce wyłamanych sprężyn pokryte były szydełkowym pokrowcem. Stół staroświecki, okrągły, na jednej nodze, okryty włóczkową serwetą, dźwigał wielką

⁵² wiorsta – daw. ros. jednostka długości, nieco ponad kilometr. [przypis edytorski]

lampę, osłoniętą abażurem z niebieskiej bibułki i stojącą na patarafce⁵³ z zielonej włóczki, imitującej trawę, z której wychylały się różowe gniazdko, pełne żółtych ptaszków, wyciągających niebieskie dzioby. Na ścianach, pokrytych bladoniebieskim papierem w róże czerwone, wisiały jakieś stare fotografie, majaczące spłowiały, zatartymi twarzami jak widma, kilka pożółkłych portretów sławnych ludzi i dwa powinszowania, wyszyte na kanwie i oprawne w czarne ramy.

Podłoga była utrzymana niezmiernie czysto, ale każda deska z osobna ugięła się jak huśtawka, aż stolik się kołysał i wysoka serwantka, stojąca pomiędzy oknami, brzęczała szymbami i masą talerzy i cacek porcelanowych, jakie poza szkłem były ustawione. W rogu pokoju, poza matką, stała trzcinowa półka, pełna książek starych, poobdzieranych, i kompletów „Tygodnika Ilustrowanego”⁵⁴. A nad kanapką wisiało stare, wpółosłepłe lustro w poczerniałych ramach w stylu cesarstwa⁵⁵.

W pokoju panowała wielka cisza, przesycona zapachem jabłek, które się czerwieniły spoza szyb serwantki⁵⁶, i zapachem starości. Wszystko tutaj było tak stare, połatane, wytarte, stoczone przez czas i robaki, że tylko wielkim nakładem pracy mogło się trzymać w całości. Pokój odnajmowały od jakiejś staruszki, domierającej w sąsiednim od ulicy pokoiku.

Zakrzewski, ilekroć wchodził do tego mieszkania staroświeckiego, poważniał, bo mu ten pokój przypominał pokój babki i dom rodzinny. Teraz również miał takie uczucie, patrząc na drzwi, że za chwilę usłyszy stuk kija babki lub zobaczy wchodzącą matkę.

Lili w milczeniu uwijała się po pokoiku, a potem na dość długo zniknęła za parawanikiem, aż się ukazała stamtąd z herbatą już gotową. Włosy przy robocie tak się jej roztrzęsty, że zakrywały czoło i spadały ze wszystkich stron na twarz.

– Co pani czyta? – zapytał matki, aby przerwać to dziwne milczenie, jakie panowało.

– *Tajemnice grobowca*⁵⁷. Straszna rzecz! Nie ma pan pojęcia, co ta nieszczęsna Blanka cierpi. Biedny René. Mój Boże, mój Boże, jak to ludzie cierpieć muszą! – mówiła cichym, zmatowanym głosem, wstając, aby sobie wziąć herbatę; piła ją pośpiesznie, od czasu do czasu, czytając jakiś ustęp powieści.

Gdy skończyła herbatę, otuliła się w kołdrę, usiadła do nich plecami, zakryła uszy rękami i zatopiła się znowu w czytaniu, wycierając czasami oczy pełne łez współczucia dla nieszczęsnej Blanki i biednego René. A młodzi siedzieli przy stole, pili herbatę i bardzo mało mówili do siebie. Zakrzewski odpowiadał monosylabami, bo ten pokój dziwny, ta ordynarna łatanina, zimno i cisza dziwnie go rozdrażniały, a przy tym już od rana dzisiaj nosił w kieszeni list od matki, list, który go przepalał tęsknotą do domu i głuchym niepokojem o jutro. Lili bała się przerywać mu zadumę, więc tylko patrzyła na niego coraz smutniej i jakiś dziwny, nieokreślony lęk przejmował jej duszę.

Gdy wreszcie odchodził, prędzej niż zwykle, bo nie mógł już wytrzymać, odprowadziła go do sieni⁵⁸ i na pożegnanie cichutko zapytała:

– Ale pan przyjdzie jeszcze do nas?

I patrzyła mu w oczy ze strachem.

– Także zapytanie! Przyjdę jutro rano.

– Ale... ale pan się nie gniewa na mnie?

– A za cóż by, Lili? Czy ja mógłbym się na panią gniewać?

⁵³ *patarafka* – dekoracyjna podkładka pod lampę. [przypis edytorski]

⁵⁴ „*Tygodnik Ilustrowany*” – popularne pismo ilustrowane o kierunku zachowawczym, wychodzące w Warszawie w latach 1859–1939. [przypis edytorski]

⁵⁵ *styl cesarstwa* (fr. *empire*) – styl w sztuce i architekturze, odmiana późnego klasycyzmu, związana z okresem panowania cesarza Napoleona I (1804–1815), nawiązujący do sztuki staroż., cechujący się symetrią i dekoracyjnością. [przypis edytorski]

⁵⁶ *serwantka* (z fr.) – niewielka, oszklona szafka, służąca do przechowywania szkła, porcelany, drobnych ozdób. [przypis edytorski]

⁵⁷ *Tajemnice grobowca* – powieść sensacyjna autorstwa Xaviera de Montépin (1823–1901). [przypis edytorski]

⁵⁸ *sień* – przelotowe pomieszczenie komunikacyjne pomiędzy głównym wejściem a dalszymi pomieszczeniami wewnątrz budynku. [przypis edytorski]

Uściskał jej ręce i poszedł. Wyjrzała za nim jeszcze, bo jej się wydało, że go już nie zobaczy nigdy, nigdy, i tak ją ta obawa zdenerwowała, że powróciła do mieszkania, położyła się na łóżku i ukrywszy twarz w poduszkę, długo i boleśnie płakała.

III

Zakrzewski znalazł się na głównym rynku. Nie wiedząc, co zrobić z sobą, zapuścił się w długą ulicę, wiodącą do rzeki, i szedł tak głęboko przejęty tym stanem, z którego sprawy zdać sobie nie umiał, że nie spostrzegł nawet kilku znajomych, którzy mu się kłaniali. Przeszedł długi, drewniany most i skręcił z szosy do parku, co się zaraz czernił nad rzeką wielką masą świerków. Chodził alejami, zasypanymi zupełnie śniegiem, i przez zaspy przedostał się na wysepkę, położoną w środku zamarzonego stawu, z którego wiatr wymiatał śnieg; na wysepce stała altana, osłonięta kołem wielkich świerków i modrzewi; usiadł tam, obejrzał się po roztrzęsionych, rozchwianych, nagich gałęziach drzew, po tej olśniewającej białości śniegu, po dalekich, czarnych liniach horyzontu, zamkniętego lasami, i zerwał się szybko, chciał gdzieś bieć czy uciekać, ale znów po chwili usiadł i chociaż mu zimno było, myślał:

– A co dalej? A co dalej? – powtórzył głośno i aż się przestraszył dźwięku własnego głosu.

Sześć miesięcy, spędzonych w towarzystwie aktorów, przesuwało się przed nim w porwanych, zaciemnionych obrazach.

– Jak to dawno! – myślał. – Jak to dawno!

I wielka, ciężka tęsknota za domem przywalała mu duszę i zaczęła ją szarpać. Myślał o teatrze, ale z jakąś goryczą i żalem. Krótko to trwało, bo przesunęła mu się przez oczy duszy twarz Lili, twarz tak piękna, pełna dziwnego uroku, który go tyle miesięcy przykuwał do tej jarmarcznej budy. Przetarł oczy, jakby chcąc odegnać to widmo, ale było z nim tak silnie zrosnięte miłością, że nie zginęło w niepamięci, lecz przeciwnie, zaczął przypominać sobie tysiące chwil z nią razem spędzonych, tysiące słów, spojrzeń, tysiące szczegółów drobnych, dziecinnych niemal, ale które go rozrzewniały do głębi.

Wiatr się zerwał, przeleciał przez park z poświstem, zatargał świerkami przy altanie i strząsnął całe tumany świeżego śniegu, a potem wdarł się w gąszcze parku i trząsnął nagimi szkieletami tak mocno, że aż się z jękiem pochylały i ze świstem suchym przecinały powietrze gałęziami, i długo się chwiały, długo szumiały głucho, długo się uspokajały, aż stanęły w wielkiej ciszy, otulone zmrokiem, który już pełzał po śniegach i czał się po gąszczach i rowach głębokich.

Od miasta, które z altanki dobrze było widać, znad ozłoconych dachów, kominów, ścian, poprzecinanych oknami, nakrytych blaszanymi dachami, pokazało się olbrzymie stado kawek; z krzykiem opadały na park, wieszały się gałęzi i chwiejąc się razem z nimi i trzepiąc skrzydłami, krzyczały, biły się, podfruwały, zmieniały miejsce, aż w końcu wszystkie opadły na zasypany śniegiem gazon⁵⁹, spod którego odgrzebały zmarzonego psa i zaczęły go rozrywać.

Leon nie zważał na to; zrobiło mu się zimno, więc zaczął spacerować po altance i z coraz większą żywością przypominał sobie poznanie Lili.

Pół roku temu był jeszcze w domu, przy gospodarstwie, w Łomżyńskim. Poznał Lili na przedstawieniu, jakie w sąsiednim miasteczku dawała nędzna trupa⁶⁰ prowincjonalnych aktorów; poznał ją i rozkochał się na śmierć.

Byłby cały majątek poświęcił dla niej, ale rychło się przekonał, że tą drogą nie dojdzie do celu, a że był bardzo zapalny i kochał się w niej namiętnie, rzucił dom i cichaczem wstąpił do tej samej trupy, aby tylko być z nią razem. Nie myślał wtedy, na czym się to skończy; widywał ją codziennie i codziennie przekonywał się, że to był jeden z najczystszych i najpiękniejszych kwiatów, jakie kiedykolwiek wykwitnęły na bagnistym gruncie teatru. Że to była dusza tak dobra, tak czysta, tak nieświadoma złego i tak wprost niezdolna do popełnienia czegoś złego, że uwielbiał i czcił ją jak świętą. Na razie to mu wystarczało.

⁵⁹ gazon – ozdobny trawnik obsadzony kwiatami i krzewami. [przypis edytorski]

⁶⁰ trupa – zespół aktorów bądź cyrkowców. [przypis edytorski]

– Trzeba to jakoś wszystko skończyć! – myślał teraz, powracając wolno do miasta. – Ożenię się z nią! wyrwę z teatru i będziemy bardzo szczęśliwi, bardzo!

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.